Nr. 50. Poznań, niedziela 13-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.). w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Ciekawy dokument.

Znanym niezawodnie jest czytelnikom naszym „Diariusz sejmu unii Korony Polskiej i W Ks. Litewskiego“, ogłoszony w r. 1856 przez hr Tytusa Działyńskiego. Mało jednakże komu wiadomo, że autor ten, który w dziejach piśmiennictwa poznańskiego tak zaszczytne zajmuje stanowisko, zamierzał dzieło swoje poprzedzić przedmową, zwróconą w formie listu otwartego do cara Aleksandra II. Od zamiaru tego jednak odstąpił Tytus Działyński, a motywy tej rezygnacyi wyjaśnił później w krótkim komentarzu, umieszczonym w części III Dziejów Unii Lubelskiej na tej stronnicy, która zawierać miała dedykacyę. „Byłbym tu umieścił — mówi wydawca Diariusza — słowa niezgodne ani z wypadkami nowo zaszłemi w Polsce, ani nawet z zasadami wielu z najszanowniejszych moich spółrodaków, usunąłem więc takowe w hołdzie dla dobrych chęci, którym życzę skutków najpomyślniejszych“.

Słowa powyższe odnoszą się widocznie do pobytu Aleksandra II w Warszawie, gdzie „Car-oswoboditiel“ rzucił deputacyi polskiej pamiętne słowa: „Co ojciec mój zrobił, jest dobre. Point de rêveries, messieurs!“

Nie zaginęła jednak owa odezwa do cara Aleksandra II, którą Tytus Działński skreślił pod wpływem marzeń i nadziei, budzących się zawsze na ziemi naszej, gdy na tron rosyjski nowy władca wstępuje. Autor ogłosił ją w kilku egzemplarzach jako ulotne pisemko i rozesłał najbliższym przyjaciołom swoim. W przekonaniu, że ciekawy ten dokument, nadesłany nam przez jednego z życzliwych przyjaciół „Przeglądu“, zaciekawi czytelników naszych, podajemy go poniżej w dosłownem brzmieniu:

* * *

NAJJAŚNIEJSZY CESARZU
WSZECH ROSSYI
etc. etc. etc.
KRÓLU POLSKI I WIELKI XIĄŻE LITEWSKI,
PANIE A PANIE MIŁOŚCIWY.

Gdyby wolność i niepodległość, te najdroższe narodów skarby, mogły być zakupione i trwale dochowane hojnym szafunkiem krwi i dostatków; gdyby poświęcenie, miłość kraju, nareszcie wiara i nadzieja w miłosierdzie Boże dostateczną były rękojmią samodzielności ludów. stałaby Polska pierwsza pomiędzy narodami, ozdobiona wieńcem tylokrotnych usiłowań swoich. Ale kiedy niezbadanem losem zrządzeniem przeszła i Polska i Wielkie Xięstwo Litewskie pod potężne berło Twoje, umyśliłem, Najjaśniejszy Panie, złożyć u stóp tronu Twojego wykaz czynności, jakie posłużyły niegdys do skojarzenia związku i unii między temi dwoma narodami odrębnego szczepu i długo nawzajem sobie strasznemi. Najjaśniejszy Panie, ten związek przetrwał wieki, nie złamały go wspólne nam klęski — i dziś jeszcze jesteśmy sobie braćmi sercem i uczynkiem; ale, Najjaśniejszy Panie, takie ogniwa spajać jedynie może mądra i z wytrwałością przewiedziona moralna zasada łaski są przemijające. Polskę i Litwę łączyła jedna głowa, ale ziemie podległe przezornym rządom domu Jagiellońskiego cieszyły się ustawami narodowemi i zupełnie odrębnemi; wojsko, senat, statut, skarb, hierarchia, pieczęcie i buławy stały odosobnione, a indigenat był pierwszym warunkiem wszelkiego urzędowania. Wtenczas to, Najjaśniejszy Panie, ościenne ludy dobrowolnie cisnęły się pod błogi regiment dawnych królów naszych, bo żaden z pomiędzy tychże nie kusił się o nagięcie twardego konaru obcych narodowości — wróżył ludom samoistność i opiekę, a nie groził zagładą. I tak, Najjaśniejszy Panie, ręka ręce zaledwie podane, już zdołały pod Grunwaldem wstrzymać na długie lata pochód tego zgubnego dla ludów słowiańskich plemienia, ktore nurtując podstawy bytu naszego nie orężem, ale sztuką i podstępem, wszędzie z rodowitego gniazda wyparło starożytnych onego właścicieli. Najjaśniejszy Panie, Twoja rada i Twoi sąsiedzi odwodzić Cię będą od przykładów i Jagiellonów i Stryja Twojego. Ci to bowiem doradzcy wprowadzili władzę na drogę gwałtów i skazili piętnem fałszu chęci i słowa Cesarza Aleksandra I. Oni to polubiwszy prokonsularną władzę i obyczaje, niebaczni na przeszłość i na przyszłość, na dobro kraju i na sławę własnych swych panów, źli słudzy, rozżarzyli w polskim ludzie jak i u panujących nad nim wzajemną niechęć i nieufność. Twoi zaś sąsiedzi nie mogą Ci życzyć sławy, do jakiej sami nie dążą, a ktoraby chęci i nadzieje wszystkich ludów sławiańskich ku Tobie jedynie skierowała. Czołem oni wprawdzie bili przed Twym Rodzicem, ale niegdyś i nam się nisko kłaniali, zanim nas rozszarpali. I między naszymi znajdziesz, Najjaśniejszy Panie, odrodnych synów Polski, gotowych do ratowania z powszechnej toni siebie tylko samych. Ale na tak plugawej podstawie nie racz się opierać. Najjaśniejszy Panie, owoc bowiem zepsuty najprędzej opada. Cnoty są sobie pokrewne, a ktokolwiek znieważa cześć ziemi ojczystej, ten zdeptał lub zdeptać gotów i święte grono wszystkich cnót obywatelskich.

Najpotężniejszy władzco ludów sławiańskich, pogardź więc chciwymi, zazdrosnymi i podłymi, — niech odbudowanie a nie zagłada będzie celem wspaniałych usiłowań Twoich. Zagłada jest niepodobną tam, gdzie ludy w męczeństwie upatrują zasługę. chwałę, i jak pierwsi Chrześcianie palmę zapowiednią najtrwalszej nagrody. „Ostatni Polak żyjący ojczyzny wołać nie przestanie“.

Takim to usiłowaniom Twoim, Najjaśniejszy Panie, towarzyszyć będzie potęga, sława i miłość narodów: a tej sł[illegible]ej nagrody życząc Tobie z całego serca, [illegible]ładam pokornie u stóp Twoich, Najjaśniejszy Panie, Diariusz sejmu unii Korony Polskiej i W. X. Litewskiego.

Waszej Cesarskiej Mości
Najuniżeńszy sługa
A. T. HR. Z KOŚCIELCA WOJEWODZIC DZIAŁYŃSKI.

— Pisałem w zamku Kórnickim w W. X. Poznańskiem, dnia 15. Lipca 1856.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O naszych dyplomatach

W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

Jakkolwiek „Kraj“ już wyznał, że polityka ugodowa w zaborze pruskim nie ma dziś punktu oparcia, bo „nadzieja poważniejszego polepszenia stosunków pierzchła ostatecznie“, zwolennicy tej polityki nie dają za wygraną i bałamucą dalej społeczeństwo a teraz zwyciężają w Kole polskiem. Było życzeniem powszechnem, które nawet „Dziennik“ już pod redakcyą p. Łebińskiego wyrażał, żeby posłowie polscy interpelowali rząd z powodu zmiany barw prowincyonalnych. Wyrażając swoje życzenie, opinia publiczna nie narzucała posłom formy interpelacyi, pozostawiała im wszelką swobodę w tym względzie, żądała tylko poruszenia spraw, żywo ogół obchodzących. Dzienniki hakatystowskie, które nie chciały dopuścić rozstrząsania tych spraw, zaczęły straszyć Polaków i odgrażać się, że interpelacye mogą dać powód do kompromitujących nas wyjaśnień i wywołać nowe środki represyjne. Pod wpływem tych pogróżek i wiecznie prześladującej posłów naszych obawy jątrzenia Niemców zwyciężyli w Kole stali i przygodni zwolennicy polityki ugodowej i większością jednego głosu zapadła właśnie uchwała, żeby spraw drażliwych nie poruszać. Naturalnie, „Dziennik“ zmienił natychmiast front i zaczął dowodzić, że społeczeństwo, które wybiera posłów, nie ma prawa narzucać im swych żądań, a nawet, że posłowie mogą nie liczyć się wcale z głosem opinii publicznej. Słowem, wygłasza „Dziennik“ zasadę bezwzględnej dyktatury posłów, którym społeczeństwo daje na cały czas trwania mandatu nieograniczone pełnomocnictwo. Posłowie, na mocy tej zasady, nie potrzebują wcale zdawać sprawy ze swych czynności i informować się o potrzebach i życzeniach społeczeństwa. Przez sam akt wyboru spływa na nich dar Ducha św., dar mądrości politycznej, której zwyczajni śmiertelnicy wyborcy pojąć nie są zdolni.

Nie mając gruntu pod nogami, polityka ugodowa może być tylko, jak w danym wypadku, polityką bierności i zupełnej abdykacyi z wszelkiego działania. To też posłowie polscy nie zabierali wcale głosu w parlamencie podczas rozpraw nad kodeksem karnym. A były to nieraz rozprawy, mające dla nas znaczenie bardzo doniosłe, w których można było dużo powiedzieć, nawet w pewnej mierze wpłynąć na zmianę wielu niekorzystnych dla nas postanowień tego kodeksu. To były przecie rozprawy rzeczowe, to była przecie znakomita sposobność wzięcia czynnego udziału w sprawie, dotyczącej interesów całego państwa i zarazem bardzo ważnej dla naszego społeczeństwa.

Warunków dla polityki ugodowej nie ma, a zwolennicy jej nie są zdolni do żadnej działalności pozytywnej, co się już nieraz okazało. Wymyślają więc dla bałamucenia społeczeństwa, że przecie coś robią, — nie praktyczne, a nawet czasem niedorzeczne projekty, jak np. ogłoszony niedawno w „Dzienniku Poznańskim“:

(Tu podaje „Przegląd Wszechpolski“ znany projekt jakiegoś dyplomaty z obozu „Dziennika“ w sprawie utworzenia polsko-niemieckiej ligi pokojowej. Przyp. Red.)

Sam „Dziennik“ wątpi i znakami zapytania to zaznacza, czy projekt znajdzie „na razie“ uznanie, ale autora jego nazywa światłym mężem dobrej woli“. Te pochwalne epitety wzmacniają jeszcze śmieszność projektu, który wydaje się nam płodem zwiędłego ze starości mózgu polityka kawiarnianego. Zresztą może powagi poznańskie, matadarowie „partyi dworskiej“ wszyscy mają już takie mózgi, bo i list otwarty barona St. Chłapowskiego „do obywateli niemieckich,“ wzywający ich do wspólnego działania, ma wszystkie znamiona zdziecinnienia starczego. Trzeba zaznaczyć, że w obu tych manifestach odradzającej się polityki ugodowej brzmi ta sama nuta, którą niegdyś p. Kościelski wabił sfery dworskie. Bezimienny autor odezwy powiada, że „występkiem jest wprost w obec państwa rozniecać zwadę narodową w chwili, w której łączność sąsiadów z wschodu i zachodu w tak dobitny objawiła się sposób“, a p. Chłapowski dodaje, że z waśni pomiędzy Polakami i Niemcami „cieszy się ktoś trzeci“. Warto, żeby kraj raz wreszcie wytłomaczył tajemnicę dziwnej łączności, a nawet serdecznych sympatyi pomiędzy polityką ugodowców w zaborze rosyjskim, dowodzących konieczności pojednania się z Rosyą, w obec wspólnego niebezpieczeństwa, grożącego ze strony Niemiec, i ugodowców poznańskich — dowodzących, że Niemcy powinni pojednać się z Polakami w obec wspólnego dla nas i dla nich niebezpieczeństwa ze strony Rosyi.

Ważniejszą od wyżej przytoczonych elukubracyi ugodowych jest, podana w Dzienniku półurzędowym „Post“, wiadomość, której dotychczas nie zaprzeczono.

(Tu cytuje „Przegląd Wszechpolski“ znany Czytelnikom naszym komunikat o sensacyjnym interwiewie jednego z redaktorów czasopisma „Post“ z ks. arcybiskupem Stablewskim. Przyp. Red.)

Osoba arcybiskupa powinna być wyższą nad takie posądzenia, ale niestety, o ks. Stablewskim pisano już, że w tym samym duchu wyraził się o odrodzeniu narodowem Ślązka. Wtedy wprawdzie „Kuryer Poznański“ zaprzeczył, jednak w taki sposób, że nie uspokoił opinii publicznej, ale raczej potwierdził prawdziwość zarzutu. Polityka ks. Stablewskiego i pewnej części społeczeństwa, która się względami jego cieszy, daje wciąż powody do podobnych posądzeń. „Czyż można było przed kilku laty przypuszczać — pisze „Kuryer Lwowski“ — że patryotyczne na ogół duchowieństwo poznańskie, które tak świetnie zapisało imię swoje podczas walki kulturnej, zrzecze się ideałów narodowych i demoralizujący dając przykład, tworzyć będzie komitety dla stawiania na ziemi polskiej pomników Wilhelmowi I. protektorowi prześladującego Kościół polski Bismarcka? A przecież tego rodzaju smutny i oburzający fakt zdarzył się temi dniami w Inowrocławiu.“

* * *

Polskie gimnazyum w Cieszynie.

W „Kuryerze Lwowskim“ czytamy:

„Jakkolwiek niejedno daloby się powiedzieć na temat obojętności wpływowych kół polskich na sprawy szląskie, to jednak niezaprzeczonym jest faktem, iż Galicya była owym najgłówniejszym czynnikiem, który się przyczynił do powstania polskiego gimnazyum w Cieszynie. Galicya może być dumną z tego, iż prastarej dzielnicy polskiej, która dotąd leżała spowita więzami germanizmu, stworzyła zakład umożliwiający jej odrodzenie się i odpolszczenie. Gimnazyum cieszyńskie było też do niedawna owem najmłod-

---

Gwiazdkowe zakupy.

(Z cyklu „Anatol“.)

(Dokończenie.)

Anatol. Tak... ale, jeśli pani sama czegoś nie chcesz... gniewa cię to jednak, skoro to dostaje kto inny?

Gabryela. Oh!

Anatol. Łaskawa pani... To całkiem po kobiecemu — być może, że to bardzo piękne, wzniosłe i głębokie...

Gabryela. Zkądże pan nabrałeś tej ironii!

Anatol. Zkąd jej nabrałem? Powiem to pani. I ja niegdyś byłem dobrym i pełnym ufności — i nie było w słowach moich ani trochy szyderstwa... I niejedną ja ranę zniosłem cicho, w milczeniu...

Gabryela. Tylko nie wpadać w romantyzm!..

Anatol. Uczciwą ranę — tak! — „Nie“ w właściwej chwili, choćby z najbardziej kochanych ust — umiałem przenieść. Ale „nie“, wówczas kiedy oczy po setne razy mówiły „może“. Kiedy usta setne razy w uśmiechu powiadały „kto to wie!“. Kiedy ton głosu po setne razy brzmiał „z pewnością“ — takie „nie“ doprowadza człowieka ..

Gabryela. Chcieliśmy przecież coś kupić!

Anatol. Takie „nie“ czyni z człowieka błazna... lub szydercę!

Gabryela. Miałeś mi pan przecież opowiadać.

Anatol. Dobrze — skoro pani koniecznie domagasz się opowiadania...

Gabryela. Oczywiście!.. Jakim sposobem ją pan poznałeś...

Anatol. Boże mój, tak jak się poznaje zazwyczaj! Na ulicy, na tańcującej zabawie, w omnibusie, pod parasolem...

Gabryela. Ale pan wiesz przecie, że zajmuje mnie ten specyalny przypadek. Dla tego specyalnego przypadku wszakże mamy coś kupować!

Anatol. Tam, w tym.. „małym świecie“ nie ma specyalnych przypadków, właściwie nie ma ich też i w wielkim... jesteście panie wszystkie tak typowe!

Gabryela. Mój panie! Teraz poczynasz...

Anatol. Nic w tem obrażającego przecież — nic najzupełniej. I ja jestem tylko typem!

Gabryela. Jakimże to?

Anatol. Lekkomyślnego melancholika!

Gabryela. A... a ja?

Anatol. Pani? — po prostu: światowej kobiety!

Gabryela. Tak... A ona?!

Anatol. Ona?... Ona... słodkiego dziewczęcia!

Gabryela. Słodkiego. Zaraz „słodkiego“. A ja — światowej kobiety, bez wszelkiego dodatku?

Anatol. Złej światowej kobiety, kiedy już pani chcesz koniecznie...

Gabryela. A więc... opowiedz mi pan wreszcie o... słodkiem dziewczęciu!

Anatol. Nie jest uderzająco piękną, nie jest osobliwie elegancką — a już co najmniej chyba genialną...

Gabryela. Nie chcę przecież wiedzieć, czem nie jest.

Anatol. Ale ma ten miękki wdzięk wiosennego wieczoru... gracyę zaczarowanej królewny... i skalę duchową dziewczyny, co kochać umie!

Gabryela. Ten rodzaj duchowego nastroju ma podobno być wielce rozpowszechnionym w pańskim małym świecie!...

Anatol. Nie możesz pani myślą żyć się z tym światem!... Zbyt wiele przemilczano przed tobą, kiedy byłaś młodą dziewczyną — a za wiele znów mówiono ci, odkąd jesteś mężatką!... Ztąd ucierpiała naiwność pani poglądów.

Gabryela. Ale słyszysz pan przecie, że pragnę, by mnie pouczono.. Wszakże wierzę już w pańską „zaczarowaną królewnę“! Opowiedz mi pan tylko: jak wygląda ten ogród zaczarowany, w którym ona spoczywa.

szem dzieckiem, o którem się zawsze i wszędzie pamiętało: bawiono się, tańczono, urządzano wieczorki, grano w karty, robiono zakłady, wszystko na dochód gimnazyum cieszyńskiego.

To też składki wpływały obficie i wystarczyło wziąć do ręki pierwszy lepszy polski dziennik, by wyczytać całą litanię ofiarodawców.

Dziś rzecz ma się inaczej. Składki ustały, ogłaszane od czasu do czasu sprawozdania kasowe „Macierzy“ dowodnie nas o tem przekonują i zachodzi poważna obawa, iż niezadługo napocząć będzie trzeba fundusz zakładowy.

Pewna apatya opanowała naszą publiczność, której jednak przyczyny nie w Galicyi, ale w Szlązku samym szukać należy.

Rzecz jasna, iż Galicya podając dłoń Szlązkowi, była przekonaną, iż ten ostatni będzie co najmniej tak ofiarnym jak ona, tymczasem zdumiona dowiedziała się, iż narodowi posłowie szlązcy, ilekroć jechali gdzieś w sprawie gimnazyum, na setki złr. wystawiali następnie „Macierzy“ rachunki. Zeszłoroczne tłumne wydalenia uczniów z gimnazyum, którym oprzeć się zarząd Macierzy ani umiał ani chciał, rozgoryczeć musiały również w wysokim stopniu opinię w Galicyi. Wszak przez zbytnie dyplomatyzowanie zarządu „Macierzy“ i samego zakładu, synowie najlepszych patryotów, dla których przecież gimnazyum powołano do życia, znaleźli się w środku roku na bruku.

A co już najwięcej zdeprymować musi każdego to fakt, iż gimnazyum po dziś dzień nie ma prawa „publiczności.“ Cokolwiekbądź, winę w tym względzie złożyć musimy na naszych szlązkich posłów narodowych. Zasadzie „szukajcie a znajdziecie, pukajcie a będzie wam otworzono“ widocznie niestety jest im nieznaną. O, bo do „pukania“ było dość sposobności.

Ot niedawno w radzie państwa z całą zajadłością napadł na cieszyńskie gimnazyum bielski poseł dr. Haase. Posłowie galicyjscy, a szczególnie czcigodny poseł lwowski p. Lewakowski gorąco ujęli się za Szlązkiem i tylko szlązki poseł narodowy nie uznał za stosowne dać temu polakożercy należną odprawę.

To też ogólna konsternacya jest między szlązkimi narodowcami, a konsternacya ta objęła także Galicyę i zda się, iż ta ostatnia zapomniała o cieszyńskiem gimnazyum. Chciejmy wierzyć, iż się to zmieni na lepsze!

— ski.

„Mechweret“.

Mamy przed sobą francuskie wydanie „organu młodej Turcyi“, pod powyższym tytułem wychodzące w Paryżu. Numer ten, rozesłany przed kilku dniami przy „Figarze“, zawiera cały szereg artykułów, korespondencyi i informacyi, dotyczących obecnego położenia Turcyi, a stanowiących zajmujący i pouczający nawet materyał do wyświetlenia stosunków, nad któremi dyplomacya europejska nadaremnie łamie sobie głowę.

Z szeregu zawartych w tym numerze artykułów przytaczamy w skróceniu wysoce charakterystyczne wynurzenia pułkownika Szefik-beja, byłego adjutanta ministra wojny, a obecnie przebywającego na emigracyi w Paryżu.

Jeżeli ormianie skarżą się na rządy Abdul-Hamida, który pogrążył Turcyę w przepaść, to i muzułmanie nie są szczęśliwsi. Rządy to rzeczywiście okropne. Od 130 dni żaden z urzędników (oprócz pałacowych) nie otrzymał najmniejszej zaliczki na swoje zaległości. Na prowincyi oficerowie zmuszeni są sprzedawać ruchomości; żołnierze błądzą zaledwie do połowy okryci, a nędza zmusza ich do brania udziału w buntach. Ziemia wszędzie bogata i produkcyjna jest opuszczona, gdyż chłop pracując dla skarbu, woli zostawić pług w spokoju, niż trzy czwarte ze swoich zbiorów oddawać poborcom. A tymczasem w Ildiz-Kiosku marnują złoto nędzarzy; więżą wszystkich, co mają dusze prawe i szlachetne.

Wiem o tem — mówi Szefik-bej — że usiłowano obedrzeć Turcyę z honoru wobec ucywilizowanego świata, składając na jej fanatyzm całą odpowiedzialność za zaburzenia, które skrwawiły naszą nieszczęśliwą ojczyznę. Ale wcześniej czy później pokaże się to, że jedynie tylko w pałacu sułtańskim trzeba szukać winnych zabójstwa 100,000 ludzi, których poświęcono w ciągu jednego roku wstrętnym interesom. Twierdzenie to podtrzymuje już sam fakt, że wszyscy wielkorządcy, którzy wpływali uśmierzająco na nieporządki, popadli w niełaskę, ci zaś co pozwalali na okrucieństwa, zostali na swoich stanowiskach obdarzeni łaskami.

Czy można wątpić o tem po owej ohydnej wystawie bomb, nazajutrz po mordach w Konstantynopolu urządzonej, w celu pobudzenia tłumu do nowych zbrodni?

Przyczyna takiej polityki Ildiz-Kiosku jest tylko jedna i zawsze ta sama. zatrzymanie wszelkiemi sposobami władzy, która się z rąk wymyka. Pobudzają nienawiść giaurów i muzułmanów, ażeby się nie jednoczyli przeciwko tyranii, którą znoszą od tylu lat narówni.

„Jedźcie do Konstantynopola, zobaczcie systemat szpiegowski, a zbudujecie się tym widokiem. Każdego dnia dwieście do trzystu osób przychodzi do pałacu składać raporty sekretne Izel-bejowi, albo innym matadorom. Sułtan sam przegląda te raporty, zawierające przeróżne bajki i oszczerstwa wstrętne. Niektóre zachowuje sobie, inne odsyła do szambelanów. Następują zaraz aresztowania wszystkich nieszczęśliwych denuncyowanych. Nie jest to wcale przesadą.

Trzy osoby razem nie odważyłyby się przechadzać po ulicy; niewolno jest turkowi rozmawiać z ormianinem, pod groźbą, że będzie zaraz wezwany do ministra policyi: iść dwa albo trzy razy do jednej i tej samej osoby wystarczy, ażeby ściągnąć na siebie podejrzenie, a mieć znaczenie w Europie, to już prawdziwe nieszczęście.

Od góry do dołu drabiny wszyscy się szpiegują i zdradzają. Ministrowie, generałowie, urzędnicy, z chwilą zbliżenia się do pałacu muszą zostać szpiegami. Jedyne to zajęcie, za które tu płacą. Choćbyś pracował najgorliwiej i z poświęceniem, nie dostaniesz ani piastra, ale szpieguj, przynoś raport codziennie do Ildiz-Kiosku, wynajduj w miarę potrzeby niebezpieczne spiski, a za każdym razem dostaniesz trzy, pięć, albo i dziesięć funtów tureckich.

Anatol. Nie powinnaś tu sobie pani oczywiście przedstawiać świetnego salonu, kędy u drzwi spadają ciężkie portyery, salonu z makartowskiemi bukietami w rogach, z kosztownemi drogiemi świecznikami, matowym aksamitem... i przesadnem półświatłem zamierającego popołudnia...

Gabryela. Toż ja nic chcę wiedzieć czego *nie* mam sobie wyobrażać...

Anatol. A więc — wyobraź pani sobie — mały półmroczny pokoik — taki maleńki, o malowanych ścianach, a do tego jeszcze nieco za jasno pomalowanych. Kilka starych, nędznych sztychów z wybladłemi u spodu napisami wisi tu i owdzie. Wisząca lampa z abażurem. Z okna, kiedy zapada wieczór, widok na dachy i kominy, tonący we mgle!... A z nadejściem wiosny naogród przeciwległy, co zakwitnie kwieciem i ku nam słać będzie wonie...

Gabryela. Jak pan musisz być szczęśliwym, kiedy w Boże Narodzenie myślisz już o maju!

Anatol. Tak — *tam* czasami bywam szczęśliwym!...

Gabryela. Dosyć, dosyć, dosyć! Już późno... trzeba jej coś kupić! Może coś do tego pokoiku o malowanych ścianach...

Anatol. Niczego tam nie braknie!

Gabryela. Tak... dla niej — temu wierzę! Ale ja chciałabym dla pana — tak dla pana, przystroić ten pokoik na pański sposób!

Anatol. Dla mnie?

Gabryela. W perskie dywany..

Anatol. Ale proszęż pani — tam za rogatką!

Gabryela. Wiszącą lampę o łamiącem się czerwono-zielonem świetle?

Anatol. Hm!

Gabryela. Z kilku wazonami, pełnemi kwiatów?

Anatol. Tak... ale ja *dla niej* coś przynieść chciałbym.

Gabryela. Ach prawda... dla niej — trzeba nam się zatem zdecydować — ona już tam pewnie czeka na pana?

Anatol. Niezawodnie!

Gabryela. Czeka?! Powiedz pan... jak pana przyjmie?

Anatol. Ach, tak jak się przyjmuje w ogóle.

Gabryela. Słyszy kroki pańskie już na schodach... nieprawdaż?

Anatol. Tak,.. czasami...

Gabryela. I staje u drzwi?

Anatol. Tak!

Gabryela. I rzuca się panu na szyję, i całuje pana i mówi... Co też mówi?...

Anatol. To, co się mówi w podobnych razach...

Gabryela. No... naprzykład?

Anatol. Niewiem żadnego przykładu!

Gabryela. Cóż mówiła wczoraj?

Anatol. Ah, nic osobliwego... to wygląda tak niedorzecznie, skoro się nie słyszy równocześnie brzmienia głosu!..

Gabryela. Już ja go w duchu słyszeć będę: No — cóż powiedziała?

Anatol. „Taką szczęśliwą jestem, że cię mam znowu!“

Gabryela. „Taką szczęśliwą jestem“ — jak?

Anatol. „że cię mam znowu!...“.

Gabryela. ...to jest właściwie ładne, bardzo ładne!

Anatol. Prawda... to takie serdeczne i prawdziwe!

Gabryela. I ona... zawsze jest sama? Możecie się widywać tak zupełnie bez przeszkód?

Anatol. Oczywiście — mieszka sama zupełnie — nie ma nikogo — ani ojca, ani matki, ani ciotki nawet!

Gabryela. A pan... jesteś dla niej wszystkiem?

Anatol. Być może!... Dzisiaj przynajmniej... (milczenie).

Gabryela. Późno już, widzisz pan jak już pusto jest na ulicach...

Anatol. Oh! a ja panią tak zatrzymałem! Musisz pani przecież wracać do domu.

Gabryela. Naturalnie, naturalnie! Czekają mnie tam już pewno! A co zrobimy z podarunkiem?...

Anatol. O, znajdę przecież jeszcze jakąś drobnostkę!...

„Miałem sposobność dowiedzieć się z pewnych źródeł, ile kosztują usługi szpiegów. Przerażające to cyfry. Trzydzieści tysięcy funtów tureckich miesięcznie wpada w tę otchłań, bez dna; to znaczy siedemset tysięcy franków! Jakżeż chcecie ażeby cierpiano spokojnie taki rząd wstrętny. W pałacu rozumieją to, więc usiłują odwrócić uwagę“.

Dalej Szefik bej przypuszcza, że gdyby nie było wybuchów sierpniowych, które skrupiły się na ormianach, muzułmanie byliby sami podnieśli bunt przeciw sułtanowi i jego otoczeniu.

Charakterystyczne są żale patryoty tureckiego, który zazdrości losu ormianom. Oni przynajmniej mają współczucie świata, Europa ujmuje się za nimi, młodoturcy zaś, pragnący odrodzenia państwa, doznają tych samych co ormianie prześladowań i nawet nikt się o nich nie troszczy.

W tymże numerze „Mechwereta“ spotykamy korespondencyę z Konstantynopola, wyrażającą ten sam pogląd.

„Lepiej być ormianinem, niż wykształconym, uczciwym turkiem. Ormianina uwięzionego żałują przyjaciele europejscy, protegują ambasady; my nie mamy żadnej nadziei, gdy z powodu błachego podejrzenia znajdziemy się w więzieniu. A iluż to muzułmanów poznikało od dwudziestu lat! Wszystka młodzież turecka inteligentna i uczona zginęła podstępnie, po cichu. A jednakże ci ludzie mogliby dziś podnieść kraj. Odkąd sułtan Abdul Hamid zasiada na tronie, każdy turek swobodniej myślący jest podejrzany, jest człowiekiem straconym, który pewnego dnia znika i nie wiadomo co się z nim stało. — Niestety, wiadomo bardzo dobrze! Ale cisza zalega, gdyż rodzice lub przyjaciele, którzyby głosili o takiem zniknięciu, doznaliby tego samego losu“.

S.

G a b r y e l a. Kto wie, kto wie; ja zaś już sobie wbiłam w głowę, że muszę pańskiej... że tej... dziewczynie — coś wyszukam!...

A n a t o l. Ale proszę pani!

G a b r y e l a. Najprzyjemniej byłoby mi być przy tem, jak jej pan oddawać będziesz podarek gwiazdkowy!... Taka mnie zdjęła ochota zobaczyć ten pokoik i owo słodkie dziewczę! Ani pojmuje ona co posiada!

A n a t o l. ...!

G a b r y e l a. A teraz oddaj mi pan moje paczki! Tak już późno...

A n a t o l. To prawda! Tu są — ale...

G a b r y e l a. Proszę, zawołaj pan na tę dorożkę, co tu ku nam zmierza...

A n a t o l. Ten pośpiech tak naraz?!

G a b r y e l a. O proszę, bardzo proszę! (Anatol woła).

G a b r y e l a. Dziękuję panu!... Ale co będzie ze sprawunkiem?...

(*Dorożka zatrzymała się; on i ona stoją przed nią; on chce otworzyć drzwiczki*).

G a b r y e l a. Czekaj pan! Chciałabym jej coś od siebie posłać!

A n a t o l. Pani?!... Jakto pani, od siebie...

G a b r y e l a. Coby tu?! Ot... weź pan te kwiaty... po prostu tylko te kwiaty... Nie ma to być nic więcej nad pozdrowienie, nic więcej zgoła... Ale... musisz pan jeszcze do tego coś jej powtórzyć.

A n a t o l. Pani — jak jesteś dobrą...

G a b r y e l a. Przyrzecz mi pan, że jej oddasz te kwiaty... i ze słowami, które panu zlecę.

A n a t o l. Z wszelką pewnością!

G a b r y e l a. Więc mi pan przyrzekasz?

A n a t o l. Przyrzekam... z przyjemnością! Dlaczegóżby nie!

G a b r y e l a (*otwierając drzwiczki powozu*). A więc powiedz pan jej...

A n a t o l. Co?...

G a b r y e l a. Powiedz jej: „Te kwiaty... słodka moja dzieweczko, przysyła ci kobieta, która może tak samo jak ty kochać umie, ale której brakło tylko potrzebnej ku temu odwagi...“.

A n a t o l. Pani?!...

(*Gabryela wsiadła do powozu — dorożka odjeżdża, ulice są niemal zupełnie puste*).

(*On spogląda długo za oddalającym się powozem, dopóki tenże nie znika na zakręcie ulicy. Stoi przez chwilę jeszcze, potem spogląda na zegarek i szybko odchodzi*).

LITERATURA I SZTUKA.

Dramaty Szyllera
w wykładzie pr hr. St. Tarnowskiego.

Ci, którzy słuchali wykładów hr. Stanisława Tarnowskiego, zachwycają się jego wymową. Być może, że mówi on pięknie; ta sama jednak rzecz w książce ogłoszona, traci wiele: pewien v e r b i a g e, pewna nadabundacya słów, pewna grandiloquentia — — rozwadniają niesłychanie wykwintny skądinąd styl hrabiego profesora i nie mało odbierają mu siły. Brak zwięzłości, może z warunków mowy publicznej wynikający, sprawia, że czytelnik, po przeczytaniu książki nic sam wnioskować nie może, gdyż wszystko mu podano. Autor widać nie uznaje sztuki ograniczania się i za swój obowiązek uważa p o w i e d z i e ć w s z y s t k o: stąd znany skutek; autor nie zostawia nic domyślności czytelnika, nic mu nie poddaje, nie budzi w nim żadnego fermentu: treści książki o dramatach Szyllera można się tylko nauczyć na pamięć; dla inteligencyi wydaje mi się ona jałową. Nie poruszam tu kwestyi, o ile się można zgodzić lub nie zgodzić z poglądami autora: jest to w gruncie rzecz obojętna: wszystkie poglądy mają racyę bytu, o ile działają, jak krzesiwo. Niema tego krzesiwa u autora rzeczy o Szyllerze: pomimo bardzo przenikliwej analizy wszystkich z kolei dramatów, hr. Tarnowski trzyma się tej dawnej metody krytycznej, która nie rozbierała duszy autora, tylko sądziła go jak delikwenta. To jest złe, a to jest dobre — tak wyrokuje hr. Tarnowski. W całej książce ani razu nie widać, aby się autor starał podnieść zasłonę duszy tego sentymentalnego Niemca i zarazem szlachetnego buntownika-marzyciela, który może błądził, ale zawsze był szczery, i prawdziwy, a zawsze niespokojny poszukiwacz harmonii, absolutu i człowieczeństwa. Autor, jako legitymista, nie odczuwa dokładnie tej zuchwałości bezładnej i szalonej, naiwnej a jednak pięknej, jaką się Szyller w latach młodzieńczych odznaczał. Dlatego w „Zbójcach“ widzi on raczej niedorzeczność, niż dziki wybuch organizacyi genialnej, która charakterystycznie odzwierciadla wiry epoki, już-już do ruchu wstające — i która w tym chaosie jednak pewną logikę kształtuje. Bardzo szczęśliwie natomiast uwydatnił prelegent stopniowy rozwój idei, które w kolejnych dramatach wyobraża Szyller. W „Zbójcach“ — to bunt szalony przeciw wszystkim więzom społecznym i rodzinnym; we „Fiescu — toż samo z jaskrawie odznaczoną sympatyą dla urządzeń republikańskich: tu i tam człowiek wyższy — Karol Moor i Fiesco, — w których wraz z walką o dobro masy, budzi się pogarda dla tejże masy i zarazem żądza panowania nad nią, dążenie do uzurpacyi, które we Fiescu zwłaszcza rozwija się z pewnym wallenrodyzmem; odtąd uzurpacya, walka o zerwanie więzów, wreszcie nienaturalne stosunki rodzinne stanowić będą główne motywy dramatów Szyllera. W „Kabale und Liebe“ widzimy despotyczny ustrój małego Księstwa niemieckiego, gdzie najświęsze uczucia i stosunki rodzinne są poniewierane. W „Don Carlosie“ — miłość pasierba do macochy, nienawiść ojca do syna z jednej strony, walkę Niderlandów przeciw Hiszpanii z drugiej, a na tem tle występuje patetyczny deklamator idei XVIII wieku, markiz Poza. — Następuje w twórczości poetyckiej Szyllera dziesięcioletnia przerwa, poczem talent jego w potężniejszym rozkwicie wydaje co roku niemal, jakby w przeczuciu śmierci, wspaniałe dzieła, z których „Wallenstein“ i „Marya Sztuart“ stanowią arcydzieła jego najwyższe. Wallenstein — to znów uzurpator w rodzaju Fiesca, tylko znacznie genialniejszy, jakby z postaci Napoleona malowany (dodać należy, że jest to jedyna tragedya historyczna Szyllera na tle niemieckiem: znaczy to, że ten narodowy poeta czerpał natchnienie patryotyczne ze wszystkich źródeł i mimo to zawsze pozostał narodowym). Jak Wallenstein jest najwyższym typem uzurpatora u Szyllera, tak znowu Marya Sztuart stanowi kwiat najwyższy śród jego postaci kobiecych: jest to do doskonałości podniesiona Amalja czy Luiza, tkliwa, piękna, szlachetna, kochająca i — bardzo nieszczęśliwa, zarysowana miękko, delikatnie, żywo i z odczuciem.

Po tych dziełach Szyller jeszcze raz maluje walkę narodu o wolność (Dziewica Orleańska) i znów do tegoż przedmiotu wraca (Wilhelm Tell). Tu spełnia Szyller dzieło patryotyczne: było to w okresie najazdu Francuzów i młodzież niemiecka gotowała się do walki; Szyller malując walkę Francyi przeciw Anglikom, Szwajcaryi przeciw Austryakom, występował jako Tyrteusz swego narodu. I jeszcze raz do tegoż motywu powrócił: wybrał on moment z dziejów Rosyi, w którym dostrzega wielkiego uzurpatora i walkę o wyzwolenie: rzecz ta pod tytułem „Dymitr Samozwaniec“ nie została dokończoną i posiadamy ją tylko we fragmencie; pomijając słabą znajomość historyi przedmiotu, Szyller dał tu jednak wspaniałe efekty dramatyczne i dzieło to zapowiadało się znakomicie. Godny uwagi też jest dramat „Narzeczona z Messyny“, w którym autor chciał stworzyć rzecz ściśle klasyczną: pomimo niektórych braków, jest to jedno z najpiękniejszych dzieł Szyllera: nieruchomość bohaterów, marmurowe patos ich przemówień, jakaś powaga przedziwna całej faktury — sprawia wrażenie, jakby te głosy szły z bezdennej głębi i przypomina nieruchomość dramatów Eschylosa. Hr. Tarnowski jest wręcz odmiennego zdania i ze wszystkich sztuk Szyllera najniżej stawia „Narzeczoną z Messyny.“

A. L.

Pierwsze przedstawienie „Zatoniętego dzwonu“,

baśni dramatycznej (Märchendrama)

Gerharta Hauptmanna.

„Trudno się skarżyć, cześć mu oddali ziomkowie!“ Po każdym akcie oklaskom i wywoływaniom nie było końca. Czy i ilu znalazł jednakże poeta słuchaczów takich, którzy myśl jego w pełni zrozumieli i piękno dzieła odczuli, to pytanie otwarte. Kto chciał, ten mógł się nasłuchać różnych orzeczeń nie koniecznie świadczących o dobrem zrozumieniu, czasem wprost przeczących takim przepuszczeniom: „Nie rozumiem sztuki tak samo, jak tych ludzi, co klaszczą!“ albo dowcipniej (!): „Przecież tak docna głupi (so ganz borniert) nie jestem, a jak Bóg żyw, nic nie rozumiem!“ Słów uznania tak często nie było słychać; zapewne ten, kto odczuwał prawdziwie, kto wspiął się na wyżyny, gdzie wieszcz, jak orzeł skrzydła roztaczał, nie dawał uczuciu swojemu wyrazu w słowie nierozważnem, tylko pierś mu wzbierała, a oczy niecıły blaski zachwytu. A pozwolić się oczarować, nie było trudnem, trzeba było tylko ze sobą przynieść naiwność dziecka, naiwność artysty, naiwność słuchacza dobrej woli i świeżej wyobraźni nie kulejącej w pętach szkolniczych. Śmiesznem byłoby nowe dzieło przeć gwałtem w karby jakiejś może nowej szkoły. „Zatonięty dzwon“ jest dziełem symbolicznem, ale podobnie, jak pokrewne: „Faust“ Goethego, „Prometej rozpętany“ Shelleya, „Prometej i Syzyf“ Konopnickiej, drwi sobie z wszelkich szkół, jak drwi sobie z nich dzieło każdego artysty-geniusza. Szkoła niech sobie istnieje dla jakiego drugorzędnego sztuki adepta.

Jednakże, mimo wyżej wspomnianego pokrewieństwa, „Zatonięty dzwon“ staje na przeciwnym w zasadzie biegunie. Podczas bowiem gdy Faust Goethego szukając szczęścia dla siebie, znajduje je dopiero, gdy działa i pracuje dla drugich, a Prometej rozlicznych autorów całe życie i szczęście dla nich poświęca, u bohatera Hauptmanna w tem właśnie leży nieszczęście, że się od swoich, od ludzi oderwać nie może, i to też, że się za nadto z nimi związał, staje się jego grzechem, przyczyną upadku. Henryk, lejarz dzwonów, Hauptmanna, to mniej wieszcz, to twórca w ścisłem tego słowa znaczeniu. On dąży sam do światła, o nic innego się nie pyta, hasłem jego zda się, sztuka dla sztuki, byle wielka, czysta, górna. Poemat nowy to hymn wyzwoleń, drugi lot Ikara, to skwir orła, unoszący się ponad chmurami i gromem, groźnym dla wylękłych mieszkańców dolin. Tchnienie wyżyn wieje z całego dramatu górskim podmuchem, a podmuch to tak silny i świeży, że i tych, co sięgają gwiazd rękoma, nie tylko by siebie wyzwolić, ale by nabrawszy tam promieni i skier, rzucić je w dół, aż zabłysną błękitami i światłem nie gorzej od jezior i rzek, rozbraja ta moc młodzieńcza i nęci ich i świetne budzi marzenia. Więc przebaczą poecie, że wyodrębnia się od tłumu, że śpiewa swój hymn dla kilku wybranych, że za Zaratustrą woła dumnie: „Jestem poręczą nad rzeką, niechaj mnie chwyta, kto chwycić mnie zdolny, krukwią — nie jestem!“

Osnowa sztuki niezupełnie odpowiada napisowi „ein deutsches Märchendrama“. To nie baśń ludowa jednolita, to raczej fantazya dowolnie i bez ścisłej uwięzi na tle podań ludowych z różnych czasów i miejsc wysnuta, bo jakby i trochę greczyzny tu się wkradło między te Elfy, Waldschraty Nickelmanny. Bohater dramatu Henryk, lejarz dzwonów, nowe swe dzieło, dzwon przeznaczony dla nowego kościoła zbudowanego w górach wciąga z pomocą ludzi na wyżyny. Przypadek czy przeznaczenie chciało, że lina, na której dzwon wisiał, pękła, a dzwon i Henryk za nim w przepaść runęli. Dzwon znikł na dnie jeziora, Henryk, pokaleczony i potłuczony na śmierć, schronił się do chaty wiedźmy starej, Wittichen. Tu poznaje się z Rautendelein, uroczem albijskiem stworzeniem, znalezionem gdzieś śród górskiego ziela i wychowanem przez Wittichen. Jakby tajemne więzy zaplotły się między obojgiem, Henrykiem i Rautendelein. Lecz Henryka szukają pleban miejscowy, bakałarz i golibroda. Oni go unoszą ze sobą do domu, w dolinę. Rautendelein postanawia iść za nim między ludzi, nie bacząc na przestrogi starego Nickelmanna, króla żab, zakochanego w niej, lecz sromotnie przez nią odepchniętego.

Rautendelein przebrana jak dziewczę z ludu bieży w dół za Henrykiem. Zastaje go tu w chacie na posłaniu, a około niego żona stroskana, Magda, krząta się i płacze. Mężowi śmierć grozi, a co najgorsza, stracił on chęć do życia, klnie chwili przeszłej, klnie dziełom swym, niegdyś dumie jego żony i podziwowi ludzi. Za radą plebana postanawia Magda pójść do pewnej starej pobożnej kobiety, która modlitwą i lekami chorych uzdrawia. Tymczasem ma się Rautendelein chorym zająć. W Rautendelein bowiem pleban mylnie poznaje jakieś biedne, znane mu dawniej, nieme dziewczę. Napojem wedle przepisu babusi, tak zwykła zwać starą Wittichen, Rautendelein uzdrawia Henryka i zarazem przykuwa go czarami, jakie w napoju tkwią, do siebie, że może iść już w góry z tą pewnością, że najukochańszy za nią podąży.

I rzuca Henryk dom i żonę i dzieci. I idzie w góry za ukochaną. Ona mu daje miłość i siły do nowego zupełnie działania. Tu z Rautendelein, na wyżynach czuje się wolnym od wszelkich łańcuchów, tu duch jego swobodnie skrzydła rozwinie. Naprożno pleban przychodzi do niego, by go wrócić żonie, ludziom i „usłudze boskiej“. Henryk już teraz żyje dla siebie i tworzy dla siebie, dawniejszych jego dzwonów dźwięki „w dolinie brzmiały, w górach ech nie zbudzą.“ Zostaje więc tu, z Rautendelein, swojem natchnieniem, z przyrodą — królową, na szczytach, blizko nieba i słońca.

I bierze się do pracy, wytęża wszystkie swoje siły, że służą mu jak demony, kieruje niemi, kieruje dziełem, a jeśli ono w pierwszej próbie nie wyszło z pod rąk jego doskonałe, on je roztrąca i czeka na czas nowego natchnienia, idzie spocząć, by zbudzić się świeży i silny. Lecz sen dziś jakoś straszny, pełny przeczuć złych! Zrywa się i woła: „na pomoc! na pomoc!“ Zjawia się Rautendelein i przy jej boku znowu wiara wstępuje w niego i siła. Kiedy tłum mściwy z plebanem, bakałarzem i golibrodą na czele po górze się wspina, by jego dosięgnąć i strącić, on głazy na nich stacza i wraca zwycięzcą, gdy przeciwnicy się rozpierzchli. Lecz za ludźmi, jak wspomnienia dawniejszego życia, dzieci własne ukazują mu się w koszulinkach, z urną w dłoni. W urnie tkwi „coś słonego — coś gorzkiego — matki łzy“, matki, co za dzwonem poszła po śmierć na dno jeziora. Więc zrywa się Henryk, opuszcza Rautendelein i górskie wolne wyżyny i bieży w dół, zkąd odgłos własnego dzwonu go woła. Ale Rautendelein już schroniła się do wodnego pałacu króla żab, tęskna i smutna. Jeszcze raz ją ujrzy, gdy chce tak koniecznie, ale krótko to potrwa, gdyż go czeka śmierć. Wyjawia mu to Witichen. Trzy puhary mu stawia z odrobiną trojakiego wina cudownego. Po pierwszych dwóch puharach dawna siła i duch świetlany w niego wstąpi. Kto jednak te dwa puhary wypije, ten i trzeci spełnić musi, a w trzecim — śmierć. Henryk ani się nie zawahał: pije. Z tchnieniem harf eolskich ukazuje się Rautendelein. Ostatnia to godzina, godzina pożegnania. Jeszcze jeden uścisk, potem podaje Rautendelein Henrykowi puhar trzeci. I umiera na ręku uroczego dziewczęcia jej nad wszystko ukochany, a konające jego usta szepcą słowa: „Tam wysoko słonecznych dzwonów dźwięk! Słońce, słońce idzie! — Długą jest noc! —“

Taka w krótkich słowach osnowa pięcioaktowego dramatu. Kto żąda więcej, tego odsyłamy do dramatu samego, już wydanego drukiem. Będzie się on obracał w krainie piękna, a kto przyrodzie się przyglądać umie, kto umie słuchać muzyki i harfowego grania, kto zna góry, w szczególności może góry olbrzymie, kto zna i kocha lud i jego prostą, pełną poezyi duszę, kto zna lud z gór olbrzymich, w tem wszystko to się odświeży w arcydziele Hauptmanna, z niezwykłym czarem. Znawcę zaś zadziwi budowa dramatu, jasna nić przewodnia, doskonała technika twórcy „Tkaczów“, równie wiersz wykończony i piękność języka i obrazowanie zachwyci ucho wrażliwe na metrykę i muzykę słów.

A teraz przedstawienie pierwsze w Deutsches Theater“. Role były obsadzone najlepszemi siłami. To też zwłaszcza pierwsze trzy akty odegrano bez zarzutu. Ale już to Hauptmann był zawsze większym poetą, niż rolę głównego bohatera odgrywający Kainz aktorem. Gorzej było z czwartym i piątym aktem; tu właśnie Kainz zawinił, że zdawała się akcya w tych dwóch aktach być nierówną, jakby czasem przewlekłą. Dramatu zwątpień, wahania i upadku Kainz nie umiał odtworzyć. Reszta ról wypadła dość świetnie, uroczą była Sorma jako Rautendelein, doskonałym był Emanuel Reicher jako ksiądz, pysznym królem żab był nieco w rodzaju Böcklinowskim, Hermann Müller. Ale i on przyczynił się w piątym akcie razem z Rittnerem, Waldschratem, stworem podobnym do greckiego Fauna, któremu wogóle nie zawsze dostawało Mefistofelowego dowcipu, do dość znacznego dyssonansu. Scena, która każe się domyślać, że Rautendelein przebywa już w pałacu króla żab, na estradzie przedstawiła się słuchaczom w rodzaju, który z francuzka nazywamy „pikantnym.“ Tego wrażenia autor zapewne nie zamierzał wywołać.

Tego wrażenia też nie odbiera się przy czytaniu dzieła samego, zwłaszcza, że początek piątego aktu wydrukowany odmiennie niż go przedstawiono na scenie. Na scenie zstępuje Rautendelein do króla żab, słuchacz widzi to, w książce zaś dopiero z rozmowy pomiędzy królem żab a Faunem czytelnik ma się tego domyślać, więc odnośne akcentowanie domyślników zupełnie tu na miejscu. Inaczej sprawa stoi, gdy widz już wie o tem, że Rautendelein przebywa u króla żab.

Takie to spostrzeżenia można było zrobić podczas przedstawienia środowego w „Deutsches Theater“. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o krytyce, jaką ogłosiły w dzień później dzienniki berlińskie Prawie wszystkie wyrażają się mniej lub więcej ujemnie o nowej kreacyi Hauptmanna, czasem są one wprost zjadliwe. Ale jest to szczekanie piesków, jak Heine taką krytykę nazwał. Tylko kilka dzienników objektywniejszych inne zajęło stanowisko. Najkorzystniej wypadły krytyki w „Berliner Tageblatt“ i „Vossische Zeitung“. „Vorwärts“, znakomicie redagowany organ socyalistyczny, podał tylko krótką treść, zapowiadając ocenę dłuższą na czas późniejszy i załączając uwagę, że w dramacie tkwi zapewne dobra cząstka historyi własnej autora. Któreś z wymienionych pism zaznacza, że w czwartym i piątym akcie działanie traci na jędrności. Już wyżej wspomnieliśmy, że wrażenie takie można było odebrać nie z winy autora, lecz

aktora. Żadnemu też z dzienników berlińskich nie przyszło na myśl, by dopatrzeć się tej winy w Kainzu; może to zaślepienie wobec ulubieńca krytyki i publiczności. Grę jego też wszyscy krytycy wychwalają i stawiają na pierwszem miejscu. Może i oni w roli jego później usterek się dopatrzą, a może i ten bądź co bądź znakomity artysta sam wżyje się lepiej w ducha poematu i więcej się wydoskonali.

Pozostaje nam jeszcze dać posłuch przez „Vorwärtsa“ napomkniętej uwadze. Możnaby historyę poety nietrudno zespolić z fabułą dramatu. Po dramatach pierwszych, po „Tkaczach“, tych dzwonach ulanych dla ludzi, dla prądów wśród nich nurtujących, Hauptmann wzniósł się w sfery czystej sztuki, stojącej po za w ogólnoludzkiemi dążnościami chwili w dziele swem „Hanusia“. Tu po raz pierwszy hasło: „sztuka dla sztuki“ rozbrzmiewa czarem czystego liryzmu. Lecz z wyżyn tych zstępuje wieszcz znowu między ludzi, skąd echo dawniejszego dzieła, tego potężnego, na podziw ludzki stworzonego dzwonu „Tkaczów“ woła go przemożnie, zstępuje i wydaje podobny treścią utwór „Floryan Geyer“. Ale to dzieło poronione nie znajduje uznania; więc autor znów powraca na wyżyny i tworzy nowe dzieło: „Zatonięty dzwon“. Miałżeby to być śpiew na śmierć zranionego łabędzia, jak to zda się wypowiadać obrazek na karcie tytułowej książki, namalowany przez Ottona Eckmanna, tego ulubieńca czytelników czasopisma „Jugend“? O tem wątpimy, pieszcząc się nadzieją, że wieszcz jeszcze niepaz uniesie nas z sobą w sfery prawdziwej poezyi. *Paraklet.*

BADANIA NAUKOWE.

Lombroso i jego teorye.

Przekładu książki dr. H. Kurelli p. t. „Lombroso i jego teorye“ nie możemy uważać za szczęśliwy nabytek dla naszej ubogiej literatury — nie dlatego, ażebyśmy prace o teoryach C. Lombrosa uważali za niepotrzebną, ale że przedrukowanie niektórych artykułów, zamieszczonych o badaczu włoskim w naszych czasopismach, dałoby napewno gruntowniejsze wyobrażenie, aniżeli ta praca. Zwłaszcza razi nas w autorze przetłomaczonej książki zupełny brak stanowiska krytycznego, tak iż czytający, skoro zawierzy jej zupełnie, poweźmie o przedmiocie pojęcie zgoła niewłaściwe. Pod piórem dr. H, Kurelli dorobek naukowy Lombrosa, którego wartości bynajmniej nie chcemy zbyt obniżać, nabrał rozmiarów niezasłużonych.

Przytoczymy parę próbek tego kadzidła. ...„Mamy tu przed sobą pracę, pod względem bystrej obserwacyi nieustępującą najlepszym, jakie wydała spółczesna psychopatologia. Lombroso istotnym okazuje się tu tłómaczem natury, geniuszem, któremu na punkcie subtelnego zgłębiania duszy ludzkiej z nowszych autorów dorównywa jeden Dostojewski, z dawniejszych tylko potężny psycholog kryminalny — Shakespeare“.

..„Autora tego cechują zalety pierwszorzędnego badacza natury, jakie w Darwinie najwyższy swój znalazły wyraz: namiętność mianowicie połączona z cierpliwością zbieracza. Potrafi on też nagromadzone przez się szczegóły wyłożyć barwnie i z życiem. Zbywa mu wszakże na talencie umiejętnego przesiewania szczegółów, grupowania ich z punktu widzenia naturalnego!“

Przyjaciel zanadto gorliwy rzadko bywa dogodny! Istotnie, czem jest Lombroso? Czy geniuszem, którego przyszłość, pod względem subtelności rozbioru psychicznego, postawi obok Dostojewskiego i Shakespeare'a, jak to twierdzi autor zajmującej nas książki?

Nie obawiając się przesady, rzec śmiało możemy, że badacz włoski co do opracowania materyału faktycznego, jest typowym przedstawicielem nowoczesnej tandety w nauce. „Olbrzymiej masie zgromadzonych przezeń faktów nikt dysputą zaprzeczyć nie zdoła“ — pisze dr. H. Kurella. Raczej wypowiedzielibyśmy zdanie zgoła odmienne.

W pracach Lombrosa toniemy w powodzi faktów i fakcików. Setki, nawet tysiące spostrzeżeń, są tam do naszego rozporządzenia. Atoli w całej pełni wyłazi z nich tendencya, właściwa obecnej chwili historycznej, mianowicie opieranie wywodów na ogromnej ilości faktów z upośledzeniem ich strony jakościowej. Książki C. Lombrosa są śmietniskiem, gdzie obok pomysłów oryginalnych mamy do czynienia z kupą chwastu, który na niwie nauki odegra tylko rolę mierzwy. Pomiędzy antropologami francuskimi, przyzwyczajonymi do ścisłości pomiarów i zwłaszcza do skrupulatnego szeregowania materyału faktycznego, a tandeckiem użytkowaniem przez Lombrosa pierwszej lepszej notatki lub spostrzeżenia doszło swego czasu do starcia, w którem zwyciężyli przedstawiciele dokładnej metody. Na każdej stronicy w dziełach kryminologa włoskiego można napotkać najpospolitsze ogólniki i najjaskrawsze sprzeczności. Przytem w potrzebie nie cofa się on przed zrobieniem z Chińczyka przedstawiciela człowieka pierwotnego, co ostatecznie nie przeszkodzi temu, ażeby gdzieś w dalszym rozdziale ów Chińczyk nie występował jako okaz wysokiej kultury. Studya antropologiczne nad zbrodniarzem muszą być oparte na wyróżnieniu naukowem typów rasowych, ażeby przymiotów tej kategoryi nie mieszać z cechami przypadkowemi, zbrodniczemi. Lombroso zgoła nie uwzględnia tego wymagania. „Rasa“, pojęcie dzisiaj tak ściśle ustalone w nauce, jest tam wciąż używane w znaczeniu, w jakiem figuruje w artykułach polityków i publicystów. Trzeba jednak dodać, że badacz włoski obok lekkomyślności odznacza się uczciwością naukową w tem znaczeniu, że spłodziwszy pewną teoryę i po pewnym czasie spostrzegłszy, że zagalopował się zanadto jednostronnie, przyznaje się otwarcie do błędu i gotów pędzić tak samo nieopatrznie w nowym kierunku. Wogóle krytycyzm i gruntowność nie znajdują się w liczbie przymiotów Lombrosa. Jest on zaś wszędzie jednaki: w pracy o związku pomiędzy genialnością a obłąkaniem, w studyach nad zbrodniarzem urodzonym, lub źródłami rewolucyi. Wydał on sam dla siebie najwymowniejsze świadectwo.

„Gdy jeden z autorów niniejszej pracy (mianowicie o kobiecie zbrodniarce i prostytutce) począł pracować przed laty trzydziestu we wskazanym kierunku, wówczas wierzył on tylko w antropologię, zwłaszcza zaś w kraniometryę. Widział w niej rękojmię przeciw metafizyce i empiryzmowi, unoszącym się wszechwładnie nad studyami, które dotyczą człowieka. Upatrywał w nich już nie koronę, lecz trwały szkielet nowego obrazu człowieka, jaki miał być stworzony. Stało się to atoli, co zwykle dzieje się z zamiarami ludzkimi: użycie przeszło w nadużycie i wykazało płonność powziętych nadziei, zadało ciężki cios przesadnej ufności“.

Szczerość to bezwarunkowo godna uznania i stanowiącą jeden z dodatnich rysów badacza włoskiego! Zresztą, wykazując jego strony ujemne, bynajmniej nie pragnęliśmy odmówić Lombrosowi wszelkich zasług. Jedynie chcieliśmy sprowadzić do godziwej miary niewłaściwe pochwały oraz zaznaczyć powierzchowność metody, której stale hołduje autor Zbrodniarza urodzonego. Natomiast podnieść należy inną stronę Lombrosa, niewątpliwie dodatnią. Jest to zapładniacz ideowy — w tem tkwi jego zasługa największa. Każde z jego twierdzeń zasadniczych wywoływało w nauce długie spory i rozprawy, wywiązywały się dysputy, rozpoczynały systematyczne studya. Idea zwykle była wygłoszona mocno niewyrobiona, poparta niedostatecznym materyałem, co do jego jakości. Ale umiała rozbudzać umysły i w ten sposób dokonywała rzeczy największej, tj. przyczyniała się do wprowadzenia fermentu do nieruchomych formuł i rutyny mężów wiedzy. Od lat dwudziestu Lombroso stoi wciąż na wyłomie i przeszkadza zastojowi. Do gruntu zburzył on wszystkie podstawy dawnej metafizyki kryminalistów, zamiast rozdziawiania ust na widok geniuszów, pierwszy wprowadził próbę poddania wyjątkowych uzdolnień twórczych analizie naukowej, skalpel zastosował do proroków i agitatorów wieków średnich. Tłomaczenie jego własne nie zawsze bywało szczęśliwe, ale zawsze otwierało nowe widnokręgi i zamiast utartych wzorów budziło nowe poglądy. *L. K.*

Z estrady i sceny.

(Śmierć cywilna. Dramat w 5 aktach przez S. Giacomettiego.)

Pewien Francuz powiedział złośliwie, że sztuk dobrych w literackiem znaczeniu pisać się nie opłaci, bo o „nieśmiertelności“ utworów scenicznych decyduje przedewszystkiem rola. Niech dramat będzie sobie marnym fabrykatem, byle tylko wielkiemu artyście lub wielkiej artystce nastręczał pole do gry efektownej a rozmaite Dusy i Sary Bernhardt, talent Rossich lub Salvinich zapewnią mu długowieczność na scenie. Do takich sztuk należy np. „Dama kameljowa“ i „Fedora“, — do takich także „Śmierć cywilna.“.

Sztuka Giacomettiego nie posiada głębszej literackiej wartości, a pod względem techniki i tendencyi od dawna już myszką trąci. Ani tu psychologia subtelna, ani budowa prawidłowa, ani akcya żywa, a w dodatku owa sporna kwestya, czy godzi się uważać śluby małżeńskie za nierozerwalne, gdy mąż lub żona umierają cywilnie, zamknięci na życie całe w więziennych murach, dziś już nie gorączkuje umysłów, bo rozwój prawodawstwa rozstrzygnął ją w pożądanym przez autora duchu. Prawodawcy patrzcie! woła dr. Palmieri na końcu dramatu, — to niegdyś brzmiało interesująco, w chwili obecnej jednak przypomina francuzkie przysłowie: „enfoncer une porte ouverte“.

Mimo to „Śmierć cywilna“ jest stałym gościem na scenach europejskich, bo ją ukochali wielcy artyści, bo Rossi i Salvini jaśnieli tu całą ogromną potęgą talentu swego. U nas w Poznaniu rolę Corrada objął p. Ryger, a od dawnego już czasu taką siłą dramatyczną i takiem mistrzostwem techniki artystycznej scena mi nie grała. Były momenta w grze p. Rygera o przedziwnej piękności, że tylko wspomnę opowieść o galerach i ucieczce więźnia, — było bardzo dokładne wykończenie szczegółów, cudowna muzyka głosu i cudowna gra ócz, tych wielkich ócz wyrazistych, które artysta umie zapalać, chmurzyć i w łzach roztapiać. Jeżeli zaś, mimo całej subtelności rysunku w tej

lub owej scenie, p. Ryger nie dość silnie nas elektryzował, jeżeli niepospolity wirtuoz olśniewał więcej techniką niż wzruszał prawdą głęboką, jeżeli sobotni Corrado był raczej świetną mozaiką niż w całem tego słowa znaczeniu człowiekiem, to przyczyny tego nie w braku psychologicznej inteligencyi i głębszej uczuciowości szukać należy, — bo te artysta nasz niewątpliwie posiada — ile w błędnej metodzie samej twórczości, w metodzie przyswajania sobie roli. Flavio Ando, wielki partner Dusy, wyspowiadał się niegdyś przed jednym z krytyków wiedeńskich, jak tworzy, jak wchłania w siebie postacie sceniczne. Nie pomnę nazwiska krytyka i nie pomnę dokładnie słów włoskiego aktora, ale myśl utkwiła mi w pamięci i podaję ją tu uwadze artystów naszych.

„Nie troszczę się zrazu wcale — mówił mniej więcej Ando — o tekst mojej roli. Przedewszystkiem muszę całe dzieło zrozumieć w najdrobniejszych szczegółach, przedewszystkiem muszę cały utwór c z u ć. Wtedy dopiero z jego ducha wyłaniają się zwolna poszczególne postacie i kształt zyskują i barwę. Gdy wreszcie w ten sposób zdobyłem sobie „swojego człowieka“, — gdy wreszcie zjawi się on przedemną tak wyraźnie, że słyszę każde słowo jego i widzę każdy ruch, natenczas usiłuję się w niego przemienić. Tekst sam odgrywa tu najmniejszą rolę i zwykle opanowuje go na samym końcu, po większej części dopiero na próbie“.

Taką jest metoda wielkiego Ando, — jest ona wręcz przeciwną przeciętnej metodzie naszych artystów. Tamten przechodzi z poczucia sztuki do poczucia roli, z poczucia roli do zdań pojedyńczych i gestów, tekst sam jest dla niego końcem. U nas tekst jest początkiem, a błędna ta zasada króluje także, jak mówi Herman Bahr, jeden z najlepszych znawców teatru, na wszystkich scenach niemieckich. Polscy i niemieccy artyści zaczynają od słowa, od pojedyńczych momentów roli i tak z kawałków tworzą całość, często bardzo piękną, ale zwykle mozaikową.

Rola Rozalii, żony Corrada, spoczywała w rękach p. A n d r a n, o której zdolnościach dziś dopiero wydać mogę sąd jako tako stanowczy. W grze tej artystki znać niewątpliwie jeszcze brak rutyny, a mianowicie gra fizyognomii jest nieco sztuczna i wysilona. W opracowaniu roli zdradza jednak p. A n d r a n prawdziwą inteligencyę artystyczną, akcentuje bardzo dobrze, cieniuje bardzo subtelnie i nie spekuluje nigdy na tani efekt błyskotliwości. Prostota, szczerość i staranność — oto zalety bohaterki sobotniej.

Z innych osób występujących zasługuje na wyróżnienie p. M o d r z e w s k a, której talent charakterystyczny powołał do życia nader udatny typ podstępnej bigotki, oraz p. T a r a s i e w i c z w roli doktora Palmieri. Młody ten artysta, który, mówiąc nawiasem, maską swoją przypominał jednego z najwybitniejszych literatów warszawskich, odznaczał się filozoficznym spokojem, szlachetną powagą i siłą bijącą z połączenia wielkiego umysłu i wielkiego serca. Bladym natomiast był p. C z e r n i a k w roli Joachima Ruvy, a postać ta stała się tem mglistszą, ponieważ dyrekcya zamieniła księdza w zwierzchnika gminy i tem samem stworzyła pewną niejasność i zagadkowość sytuacyi.

W. R.

TO I OWO.

Matka Vidrac.

W tych dniach literaturę francuzką powiększyła książka o krzykliwym nieco tytule: „Criminopolis,“ usprawiedliwionym jednak przez swą treść, ujawniającą ogrom nędzy galerników, skazanych za czyny przestępne na przymusowe roboty.

Autor jej, p. Mimande, w ciągu dłuższego czasu przeprowadzał studya w Nowej Kaledonii i dał obraz plastyczny, obfitujący w ciekawe szczegóły, bogaty niepospolitą obserwacyą.

Możnaby sądzić, że w smutnej tej miejscowości, oprócz administracyi, skazanej na przebywanie w niej z obowiązków służbowych mieszka jedynie zdziczenie obyczajów, zepsucie, gangrena moralna, pogarda wszystkiego, co posiada jakąkolwiek wspólność z uczciwością i szlachetniejszemi uczuciami.

A jednak w krainie tej p. Mimande odnalazł istotę jaśniejącą tak bezgranicznem poświęceniem, tak bezmiernem miłosierdziem, że wstrząsa do głębi potęgą tych uczuć, przepełniających jej duszę i skłania autora książki do wezwania akademii, aby przyznała jej tak zaszczytną nagrodę cnoty im. Montyona.

Nagroda Montyona na galerach? Tak, to rzecz niezwykła, ale też niezwykłem zjawiskiem jest Matka Vidrac, której nagroda ta będzie prawdopodobnie przyznaną.

Przed kilku laty mieszkaniec okolic Bordeaux, niejaki Vidrac, stanął przed sądem przysięgłych oskarżony o morderstwo. Prawdziwy typ kabotyna, obdarzanego względami kobiet, jedynie chyba za temperament południowca, posiadał matkę, która go ubóstwiała.

Matka Vidrac słynęła w całej okolicy, jako kobieta niepospolitych cnót: syn tyranizował ją, obydnemi czynami kalał jej nazwisko, rozdzierał serce; tysiąckrotnie powinna była wyrzec się go, wyprzeć łączących ją z nim węzłów krwi, tysiąckrotnie powinien był umrzeć dla niej, a jednak zawsze była jego matką i pozostała nią nazawsze.

Kiedy Vidraca sądzono, przyszła do sali posiedzeń, ani na chwilę nie opuszczając swego syna. Kiedy go skazano, sprzedała graty, krowę, cztery kury i pojechała za jedynakiem do Nowej Kaledonii.

Kiedy przybyła do Numei, zapytała w porcie jednego z dozórców o skazanego nazwiskiem Vidraca.

Jesteś pani jego matką? — zapytał dozórca.

— Tak.

— Dobrze. Proszę za mną, spodziewał się pani.

Nazwisko Vidraca było na galerach bardzo popularnem, wkrótce bowiem po przybyciu na miejsce zamordował podczas kłótni jednego ze swoich towarzyszów, za co skazano go na śmierć. W chwili przybycia matki oczekiwał na spełnienie wyroku, ale przybycie jej ocaliło go. Rozpacz nieszczęśliwej wzbudziła litość dozorców; ułaskawiono go z przeznaczeniem do oddziału niepoprawnych.

Vidrac zakuty w kajdany pracuje przy rozbijaniu kamieni. Z nadejściem chwili odpoczynku do grupy skazańców zbliża się staruszka, wynędzniała, z twarzą porysowaną zmarszczkami nadludzkiej boleści, z oczyma wypłakanemi, i podaje młodemu galernikowi dzban napełniony posilną zupą.

Jeżeli pożywienie wystygnie przez drogę, staruszka zbliża się z wielką nieśmiałością, bo wie, że usłyszy obelgę, którą jednak zawsze znosi cicha, pokorna, wierząca, że wszystkie cierpienia będą jej policzone.

Jeżeli pożywienie smakuje skazańcowi, pozwala, aby matka pocałowała go, ale pocałunku tego nigdy nie oddaje, nie patrzy na swą karmicielkę, nie wita jej i nie żegna nawet skinieniem głowy. Gdy do niej mówi, nie nazywa jej matką, ale „starą,“ z odcieniem pogardy w głosie.

Tak! Autor „Criminopolisu“ ma słuszność: ta matka-męczenica zasługuje, aby przyznano jej nagrodę Montyona, ale czy istnieje na świecie tak potężna fantazya, któraby była w stanie obmyśleć karę dla potwora, którego nieszczęśliwa nazywa swem jedynem dzieckiem?

Na Wyłomie.

(Sprawa toruńska.)

O! i na partykularzach dzieją się czasem dramata i romanse. Taki n. p. Toruń! Dziś to sobie dziura aż miło, ponura na pozór i cicha, a przecież od czasu do czasu wszystkie oczy zwracają się ku tej mieścinie, tak, jak to niegdyś za lepszych czasów bywało, gdy Jagiełło zawierał tam dosyć głupi pokój z Krzyżakami, szlachta pieczętowała pańszczyznę chłopa i Jezuici wyrzynali protestantów. A później? no! później to pieczono toruńskie pierniki i zawarto przed paru laty drugi pokój z Krzyżakami, tylko jeszcze głupszy niż Jagielloński, bo tamten upewnił nam przynajmniej ziemię dobrzyńską i żmudzką, a ten przyniósł nam figę z octem, bardzo kwaśną figę w rodzaju Hakatystów i pamiętnej mowy cesarskiej, która jak policzek rozległa się na rynku toruńskim, — policzek na twarzach lojalistów naszych. Ach! ta mowa toruńska! Ileż ona krwi napsuła, ileż wyżłów w ruch wprawiła, tropiących za śladem intrygi! O! i ja niegdyś byłem Faryseum, tj. chciałem powiedzieć wyżłem, ale odkryłem zaledwie drobne poszlaki i byłbym dziś jeszcze ciemny jak tabaka w rogu, gdyby panu Marschallowi nie była przyszła fantazya chwycić za gardło takich Lützowów i Tauschów.

Tu kończy się dramat i romans à la Born lub Gaboriau. Czegóż-bo tam nie ma w tej strasznej historyi?! Przedewszystkiem c h e r c h e z l a f e m m e! Jest agent policyjny z fałszywem nazwiskiem! Jest żonkoś, odgrywający rolę kawalera! Jest wykradanie tajemnic i fabrykacya oszczerstwa! Jest wielkie tło polityczne! Jest zdrada! Jest rozpacz! Jest proces sensacyjny! Boże! czemuż ja Bornem nie jestem?!

Lecz idźmy porządkiem rzeczy! Pani Ch., właścicielka jednego z pierwszorzędnych hotelów toruńskich miała córkę przedziwnej urody. Była to natura bujna, stęskniona cudów szerokiego świata, spoglądająca z goryczą na żelazne kraty małomiejskiej klatki i śniąca nieraz o królewiczu z bajki wśród toruńskiej prozy. I zdarzyło się, że gdy raz o zmroku smętnie dumała w izbie hotelowej, skarżąc się Bogu, że dał jej życie bez słońca, zaturkotało przed bramą. Po chwili drzwi się otwarły i przed nią stanął młody mężczyzna z niemieckiem słowem powitania. Gość jakich wiele! Rzuciła okiem niedbale i twarz zwróciła ku oknu. Wkrótce jednak ogarnął ją dziwny niepokój. Czuła, że przybysz wpatruje się w nią uporczywie, czuła, że wzrok jego pieści się jej profilem, jej włosem, jej figurą, czuła się przedmiotem podziwu. Zaambarasowana opuściła pokój, lecz przed udaniem się na spoczynek zajrzała w książkę hotelową. Nieznane nazwisko, zwykłe mieszczańskie nazwisko.

To było pierwsze spotkanie. Gość stale zamieszkał w hotelu i po dniach kilku zapukał do prywatnego mieszkania pani Ch., a po kilkunastu spędzał tam długie godziny, całując ręce prześlicznej dziewczyny i prosząc szeptem namiętnym o miłość. Mówił tak dziwnie, tak inaczej jak wszyscy Donżuani toruńscy. Muzyka jego głosu pieściła

ucho, słowa unosiły wyobraźnię dziewczęcia w jakieś inne, szersze krainy, — to on, ten wymarzony, ten rycerz z daleka! Nastąpiły zaręczyny, wprzódy jednakże wyznał szczęśliwy oblubieniec, że prawdziwe jego nazwisko jest baron von Lützow, że piastuje wysoki urząd w policyi politycznej i dla tego w interesie służby zrazu zataić je musiał. Krótka chwila wachania, jakiś błysk wątpliwości, jakiś lęk nieokreślony. Lecz baron miał syrenie śpiewy, korona jego lśniła tak ponętnie i serce panienki pukało tak silnie, że skrupuły utonęły w głębokich nurtach miłości.

Lützow wnet się otoczył szerokiem kołem znajomych, o których przecież tak łatwo w publicznym lokalu. Żywy, wytworny, dowcipny, inteligentny, stał się ulubieńcem miejscowej śmietanki polskiej. Gdy późnym wieczorem od stóp narzeczonej się oderwał, pękały korki szampańskie i on sam musował jak szampan. Opowiadał wiele i pięknie, lecz więcej jeszcze pytał towarzyszy. Interesowało go życie tego kraju, gdzie stała kolebka ukochanej kobiety, interesowały go stosunki polskie, które, jak mówił, cudzem są dla niego zjawiskiem. Przyjaciele polscy zachwyceni tą ciekawością sypali oczywiście informacye jak z roga obfitości, a ponieważ stronnictwo „ładu i porządku" wymyśliło wonczas sensacyjną bajeczkę o polskim socyaliźmie, maskowanym firmą ruchu ludowego, więc nasłuchał się Niemiec straszliwych legend o żelaznym wilku. Uśmiechał się i pytał, a oni opowiadali i pili szampana.

W tym samym czasie zjawił się drugi przybysz nieznany na toruńskim bruku i obaj z Lützowem wspólnie długie odbywali narady. Potem zniknął „ten drugi", a potem przyjechał cesarz i rzucił z konia owe twarde słowo, że Polacy toruńscy „nie postępują tak, jakby się tego spodziewać należało". Zagrały trąby na alarm. Kto winien? Kto informował cesarza? Szukano napróżno.

A tymczasem narzeczony pięknej panny z hotelu śpiewał skowrończe pieśni o szczęściu i miłości, a ona zasłuchana w muzykę słów jego marzyła o mirtowym wianku. Praktyczniejszą matkę jednak zastanowiła pewna tajemniczość, którą ten człowiek zdaleka otaczał osobę swoją. Zaczęła pytać i oto razu pewnego oświadczył pan Lützow, że o małżeństwie na razie myśleć nie może, bo musiałby popełnić zbrodnię bigamii. Krzyk, łzy i rozpacz. Pan baron jednak miał czary w oczach i słowach. Mówił, że poślubił przed laty jedną z córek Bellachiniego, króla kuglarzy, że jednak dzisiaj nienawidzi tej kobiety, że nastąpiła już dawno separacya i wkrótce nastąpi rozwód. Po burzy słońce. Matka i córka godzą się czekać cierpliwie, przyjmują nadal w swoim domu barona i spędzają nawet w jego towarzystwie wesołe chwile nad brzegiem morza w Copotach.

Tragedya zbliża się ku końcowi. Służba woła Lützowa do Berlina. Wyjeżdża, odsyła pierścionek i nie wraca więcej.

Opowiadanie powyższe opieram na informacyach bądź to otrzymanych z samego Torunia w drodze prywatnej, bądź to zaczerpniętych z polskich i niemieckich dzienników. Ubrałem je tylko w lekki koloryt nowelistyczny, o który sam temat gwałtem się napraszał. Być może, że przyszłość odsłoni tu mnóstwo innych nieznanych jeszcze szczegółów, a wtedy uzupełnię opowieść moją, którą nie fantazya, lecz życie pisało.

Być może, że niedyskrecya ta dziennikarska zaboli interesowane osoby, lecz polityka nie zna miłosierdzia. Sądzę, że żaden z publicystów naszych nie byłby zdzierał kurtyny z tajemnic familijnych, gdyby proces berliński nie odsłonił tła politycznego całej awantury, gdyby Lützow i Tausch nie nasuwali silnych podejrzeń, że oni właśnie karmili cesarza niemieckiego baśniami o socyaliźmie polskim, pozbieranemi na toruńskim bruku. Kreatury bismarckowskie po bismarckowsku działały i uderzyły w najczulszą stronę monarchy, w jego wstręt do idei przewrotu społecznego.

Na koniec jedno jeszcze słowo. Dzienniki barwy ugodowej starają się z sensacyjnych tych rewelacyi bić kapitał dla polityki swojej i konsekwentnie kładą w głowę społeczeństwa, że gdyby nie Lützow i Tausch, to postępowanie rządu pruskiego w obec Polaków miałoby zgoła odmienne oblicze, a dyplomacya Kościelskich święciłaby niepospolite tryumfy. Jest to nowe kuszenie narodu, nowa próba plantowania złudzeń na sztucznym nawozie solistyki. Wierzę, że podszepty Lützowa i Tauscha mogły spowodować mowę toruńską, lecz trzeba mieć sporą dozę naiwności lub zaślepienia, aby przypuścić, że bajeczka o rzekomym socyaliźmie ruchu ludowego mogła aniołów rządowych zamienić w Drakonów, mogła wpłynąć zasadniczo na cały system polityczny Prus w obec Polski.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Zola w świetle psychiatryi. Psychiatra Edward Toulouse, szef kliniki fakultetu medycznego w Paryżu, przedsięwziął medyczno-psychologiczne badanie stosunku między wyższością umysłową a neuropatyą. Jako pierwszy przedmiot badania obrał sobie Zolę, któremu chce poświęcić cały tom obserwacyi psychologiczno-patologicznych. Znakomity pisarz poddał się z całą gotowością różnym eksperymentom, mającym dostarczyć lekarzowi materyału do jego wywodów; zaopatrzy on nawet książkę dra Toulouse przedmową, którą podaje Revue de Paris jednocześnie z urywkami z całego dzieła. „Dziękuję ci, kochany doktorze", pisze Zola, „że wystudyowałeś i zaopatrzyłeś w etykietę moją ziemską powłokę. Zdaje mi się, że skorzystałem przy tem. Jeśli nie jest doskonałą, to przynajmniej jest to powłoka ziemska człowieka, który życie swoje poświęcił pracy i włożył w nią wszystkie swoje siły fizyczne, umysłowe i moralne". Ustrój nerwowy Zoli, według obserwacyi dra Toulouse, przedstawia obraz chorobliwych objawów, drgawek sercowych, kurczów itp. Ulega ona zwłaszcza napadom bólów, które trwają od dwudziestego roku życia, a najpierw wystąpiły jako kolki nerwowe, następnie zaś jako zapalenie gardła, pęcherza, reumatym stawów. Słowem Zola jest prawdziwym neuropatą, albowiem cierpienia jego są niezależne od jakiejś widocznej zmiany organizacyi, ale neuropatya ta nie zbliża się ani do epilepsyi ani do do histeryi. Jego cierpienia nerwowe są wrodzone i rozwinęły się skutkiem pracy umysłowej. Dziwnemi bardzo zwłaszcza są próby lekarza z pamięcią i literackim „węchem" Zoli, które wykazały, że głośny pisarz jest w tym kierunku bardzo słabo uposażony. Gdy mu doktór przeczytał urywek jego własnej krytyki, którą napisał w roku 1876-ym, nie poznał jej i wymienił z wahaniem jako autora Sarcey'a albo Lemaitre'a. Jedną ze swoich poezyi przypisał zrazu Musset'owi i poznał ją dopiero przy siódmym wierszu. Urywku ze słynnego romansu Balzac'a „Cousine Bette" nie poznał wcale. Ustęp z Pascal'a przypisał Voltaire'owi albo Diderot'owi a urywek ze „Skąpca" Molière'a — p. Prévost. Może wyniki tych badań dowodzą nietylko zboczenia ustroju nerwowego, ale także braku wykształcenia literackiego znakomitego pisarza?

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego przygotowuje głośna sztukę Sawiczewskiego p. t. „Na bezdrożach", premiowana na konkursie krakowskim. — W najświeższym numerze czasopisma „Moderne Kunst" znajdujemy wiadomość, że Modrzejewska zamierza przybyć na kilkanaście gościnnych występów do Berlina i występować mianowicie w Szekspirowskich rolach. Autentyczność tego doniesienia wydaje nam sie podejrzana ze względu na nadwątlony stan zdrowia wielkiej artystki. Pani Zalewska opuściła trupę teatru poznańskiego.

— **Koncert Śliwińskiego.** Nie ma przyjemniejszego obowiązku dla sprawozdawcy muzycznego, jak całą pełnia zasłużonych pochwał i uznania przywitać r daka-artyste, który na horyzoncie polskiej sztuki zajaśniał taką siłą pierwszorzędną jak Józef Śliwiński. Zrozumiała też tym razem nasza publiczność znaczenie występu artysty i zgromadziła sie we wtorek dnia 8-go grudnia nader licznie na sali Lamberta, spłacając dług uznania, jaki sie artyście właśnie ze strony polskiej należał, a który Poznań z ok zyi dawniejszych u nas występów zaciągnął. Nie dopisała tylko niemiecka publiczność. Ale i my w koncertach wybitnych artystów niemieckich świecimy nieobecnością, nie mamy więc prawa robi inym ztąd zarzutu. Programu wspaniałego wysłuchało zgromadzenie w możliwem skupieniu ducha i z rzadką u nas uwagą i spokojem. O grze artysty pisaliśmy obszernie w numerze 8-ym „Przeglądu". Dziś ograniczymy się tylko na kilku uwagach. Grę Śliwińskiego cechuje przedewszystkiem prawdziwa męskość, pełna zdrowia i jędrności, grze jego obcy jest wszelki sentymentalizm i ckliwość, tak przez nasze nadobne pianistki i pi nistów poznańskich z powodzeniem uprawiane. To zdrowie i męzka energia przemawia prawie z wszystkich utworów Bethovena, a więc przemówiła w interpretacyi Asdur Sonaty tego najwyższego geniuszu muzycznego cała głębią uczucia do słuchaczy. Na tej jędrnej interpretacyi zyskał również sentymentalizm Mendelsohna w waryacyach i nie stracił nasz genialny Chopin, w którego muzyce, mimo całego og omu geniuszu, mieści się dużo chorobliwego hyper-romantyzmu. Schubert z wyjątkiem może Tria w Menuecie, które dla nas było za rubasznie uchwycone, był prawdziwą ozdobą koncertu. W tysiącznych kolorach zajaśniała olbrzymia technika pianisty w walcu Rubinsteina, Spinnerlied Wagnera-Liszta i Marszu Mendelsohna w efektownym opracowaniu Liszta. Jeżeli w pierwszej połowie programu artysta fenomenalną swą wprawę oddał jedynie na usługi idei interpretowanych arcydzieł literatury muzycznej, tak, że słuchaczom, olśnionym myślą głęboką, technika ta nie podpadała, to za to w ostatnich utworach programu techniczna wprawa wystarczyła sobie sama i czarowała prawdziwa poezyą, tak uduchowiona się ujawniała.

Miłą ostatecznie dzieli ny się nowiną, mianowicie, że artysta nasz wystąpi w pierwszej połowie stycznia w Teatrze polskim, gdzie nam urządzi wieczór Chopinowski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **A. N.** Informacye nasze co do składek na portret ś. p. Franciszka Dobrowolskiego były o tyle mylne, że jak się dowiadujemy z wiarogodnego źródła, obecny redaktor Dziennika nie poczuwa się do obowiązku przyjmowania składek na cel powyższy.

— **333 w Toruniu.** Dziękujemy serdecznie za informacye. Z drugiego listu nie korzystamy na razie, czekając na rozwój sprawy.

— **W Berlinie.** Z artykułu p. t. „Jeszcze o idyotyzmach recenzentów poznańskich" skorzystamy przy sposobności. Chwilowo nie widzimy potrzeby, by powtórnie materyę tę poruszać.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)